

# ***Bruno Schulz w oczach współczesnych. Suplement nr 1***

Antologia tekstów krytycznych i publicystycznych poświęconych życiu i twórczości Brunona Schulza, wydana jako pierwszy tom „Archiwum schulzowskiego” w roku 2021, liczy 204 pozycje i obejmuje lata 1920–1939 – lata twórczej aktywności Schulza. Rozpoczyna się wzmianką autorstwa Henryka Trejwarta (Henryka Heschelesa), dotyczącą wystawy, na której swoje szkice zaprezentował młody drohobycki artysta. Kończy się tekstem wykraczającym poza wskazane ramy czasowe – nekrologiem Schulza opublikowanym w 1943 roku w piśmie „Sztuka i Naród”. Pięćset stron wielogłosowej opowieści o Brunonie Schulzu na tle całej epoki w dziejach polskiej literatury i sztuki.

W nocie edytorskiej zamykającej tę antologię pisałem: „książka, którą czytelnicy trzymają w rękach, nie jest pełnym zbiorem tekstów dotyczących recepcji Schulza w latach jego życia i aktywności twórczej. Jest to jedynie zbiór tekstów znanych badaczom w roku 2020. Co prawda wedle mojej wiedzy zawiera on wszystkie najważniejsze recenzje i teksty krytyczne, dotyczące zarówno twórczości plastycznej, jak i literackiej Schulza, jednak jest pewne, że w kolejnych latach odnajdą się nowe, zapomniane teksty, które w istotny sposób wpłyną na badania spuścizny literackiej i artystycznej tego twórcy”. Niniejszy blok, w założeniu pierwszy z serii, jest spełnieniem tej swoistej obietnicy, złożonej w wierze, iż „nie wszystko jeszcze na temat Schulza wiemy i że wcale nie trzeba kopać głęboko, aby odkryć prawdziwe schulzowskie skarby”.

Znajdziemy tu dwie krótkie noty z „Głosu Drohobycko-Borysławskiego” – jedną anonsującą debiut literacki Schulza, drugą informującą o pozyskaniu przez tygodnik nowego współpracownika w osobie autora *Sklepów cynamonowych* (po owej zapowiedzi Schulz żadnego tekstu w „Głosie” nie opublikował); wzmiankę w artykule Kazimierza Czuchnowskiego poświęconym *Zmorom* Emila Zegadłowicza i *Ma lat 22* Tadeusza Peipera; anons dotyczący *Sklepów z Przewodnika Literackiego i Naukowego* pod redakcją Wandy Dąbrowskiej; wzmiankę w tekście Kazimierza Wyki poświęconym poetyckim debiutom Aleksandra Rymkiewicza i Anny Świrszczyńskiej (przedrukowany w drugiej, rozszerzonej edycji *Starej szuflady* pod redakcją Macieja Urbanowskiego i przeoczony przeze mnie podczas prac nad tomem *Bruno Schulz w oczach współczesnych*); oraz informację prasową z 1943 roku o śmierci „młodego literata” Brunona Schulza.

Na szczególną uwagę zasługują w tym zbiorze dwa dłuższe teksty: riposta Mieczysława Lisiewicza na recenzję Schulza poświęconą *Pamiętnikowi wiejskiego*

*proboszcza* Georges'a Bernanosa, z przesadnie grzeczną prośbą o wyjaśnienie jednego jej passusu, w odczuciu autora tego tekstu najwyraźniej antychrześcijańskiego; oraz artykuł *Do krytyków* Andrzeja Kruczkowskiego, w którym „społeczna” twórczość Schulza posłużyła jako argument w rozważaniach nad lewicową krytyką literacką.

Osiem tekstów zaprezentowanych poniżej w całości i we fragmentach trudno rzecz jasna zaliczyć do schulzowskich skarbów. Żaden z nich nie przekreśla dotychczasowych interpretacji prozy Schulza, żaden też nie wnosi nowych, zaskakujących perspektyw, z których tę twórczość można by rozpatrywać. Ot, kilka drobiazgów, które być może okażą się przydatne badaczom, kilka ciekawostek, kilka dodatkowych faktów w i tak już bogatej recepcji krytycznej tego autora. Są one jednak dowodem na to, że w istocie w sferze recepcji czeka nas jeszcze niejedno ciekawe znalezisko, że mimo licznych kwerend wciąż jeszcze nie poznaliśmy pełnego obrazu tego, jak widzieli i czytali Schulza jego współcześni. Udowadniają również, że jego twórczość służyła krytykom za punkt odniesienia w dyskusjach dotyczących spraw, które, zdawałoby się, były dalekie od bliskiej mu problematyki literackiej i społecznej – co potwierdza, że zaledwie w ciągu kilku lat pisarz ten na dobre zagościł w świadomości krytyków i czytelników oraz zaliczony został w poczet współczesnych klasyków polskiej literatury.

Aktualna – i stale aktualizowana – schulzowska bibliografia przedmiotowa znajduje się na stronie *Kalendarza życia, twórczości i recepcji Brunona Schulza*: <https://schulzforum.pl/pl/bibliografia/przedmiotowa>.

Piotr Sitkiewicz

**pozycja 45a****Od redakcji**

Zawiadamiamy niniejszym P.T. Czytelników naszych, że udało się nam pozyskać do stałej współpracy p. prof. Br. Schulza, głośnego dziś literata, autora powieści *Sklepy cynamonowe*, która wywołała szczerzy zachwyt w świecie krytyków literackich.

„Głos Drohobycko-Borysławski. Tygodnik bezpartyjny” 1933, nr 23 (24 grudnia), s. 1.

**pozycja 45b****Rodak nasz wśród czołowych pisarzy polskich**

Ukazała się w ostatnich dniach na półkach księgarskich powieść Drohobyczanina Br. Schulza, której akcja częściowo toczy się w naszym mieście. Koła literackie stolicy oczekiwały z napięciem ukazania się tej rzeczy, która uchodzi za sensację sezonu i jedno z rzadkich zjawisk na polu literatury. W osobie debiutującego, ale już dojrzałego autora znalazła literatura polska reprezentanta fantastycznych i dziwnych zaułków duszy ludzkiej.

„Głos Drohobycko-Borysławski. Tygodnik bezpartyjny” 1933, nr 23 (24 grudnia), s. 4.

**pozycja 99a****Andrzej Kruczkowski****Do krytyków**

Świat walki jest światem surowym. Konieczność ciągłego utrzymywania się w jednokierunkowym napięciu stwarza w ludziach bezwzględność i każe im dążyć do podporządkowania sobie i swoim celom wszystkich objawów życia. Pisarze, dla których istnieje hierarchia *z a g a d n i e ń o b i e k t y w n i e w a ż n y c h*, którzy tę hierarchię uznają, dawno już orzekli, że najważniejszym zagadnieniem dzisiejszości jest zagadnienie zmiany form współżycia ludzi. Wszystkie wysiłki, wszystkie nasze prace powinny być obliczone na realizację tego postulatu. Powinniśmy w sobie stworzyć to właśnie jednokierunkowe napięcie, tak bardzo potrzebne ze względu na celowość naszych prac, które sprawi, że nawet dzisiaj, nawet w okresie istnienia kultury bez jej konsumentów, prace nasze będą służyły sprawie lepszego jutra. Tak mniej więcej wygląda ta teza.

Nic nie można tym postulatami zarzucić. Są one całkiem słuszne. Walka o realizację pewnych prawd, uznanych niemal powszechnie za główne prawdy epoki, jest przecież jedną z najwznioślejszych form pracy nad budową kultury.

Ale to stanowisko ma swoje konsekwencje, które – powiedzmy to od razu – są często wybitnie antykulturalne. Nie mówię tu teoretycznie. Mówię o konsekwencjach tego stanowiska, które występują w pracach naszych pisarzy.

Na wszelkie sposoby wyklina się pracowników kultury, którzy w swych wypowiedziach przechodzą obok „najważniejszego zagadnienia epoki”, których utwory są manifestacją innych tęsknot, aniżeli tęsknota do wyeliminowania z życia ludzkiego niespokojnej i wiecznej gonitwy za zyskiem, jako głównego motoru działania. W roli wyklinających stoją właśnie ludzie, którzy uważają się za obrońców zagrożonej przez faszyzm kultury, którzy walcząc w swych utworach o realizację społecznego ładu, wykonują na marginesie swej twórczości, w wyśtapieniach dziennikarskich, czynności niekulturalnego policjanta.

Chodzi mi przede wszystkim o krytyków literackich pisujących w lewicowych czasopismach. Ideał, który nam przyświeca – ideał jak najszybszej realizacji ustroju socjalistycznego i nowej kultury socjalistycznej – bywa często bardzo niepociągający w ich interpretacji. Powtarzam: w i c h i n t e r p r e t a c j i.

Polski ruch rewolucyjny znajduje się obecnie w fazie bardzo niebezpiecznej nerwowości. Socjalizm w ostatnich dopiero latach staje się u nas prądem wchłaniającym w swe szeregi całe prawie młode pokolenie. Młode pokolenie ludzi myślących. Organizuje się jednolite fronty przeciw faszyzmowi. Walczy się i mierznie zdobywa. W takim okresie trudno doprawdy o samokrytycyzm. Chwali się w naszych periodykach lewicowych wszystkie niemieckie utwory, w których zdecydowanie powiedziano cokolwiek o nędzy robotniczej, o bezrobociu czy o micie sowieckiego państwa. Natomiast od ostatnich wymyśla się autorom, których pasjonują inne problemy, niezajmujące w hierarchii zagadnień współczesnych miejsca naczelnego. Piętnuje się, wymyśla, wyklina. Od paru miesięcy ten huragan niszczycielski, który szalał w krytyce młodego pokolenia – ze skrucą biję się w piersi, gdyż i ja mam coś niecoś na sumieniu – zelżał. Paryski kongres w obronie kultury i próby organizowania jednolitego frontu pisarzy lewicowych podziałały jak balsam na naszą młodą krytykę. Nastąpiło lekkie odprężenie.

Ale zacznijmy od początku. Najpierw – poeci. Tym wyrządzało się zawsze, i teraz jeszcze wyrządza, najwięcej krzywdy. Ograniczając niemal do minimum analizę estetyczną ich utworów, krytyka starała się przede wszystkim „wylapywać” z utworów wszelkie przejawy społecznego stanowiska autora. Jeżeli stwierdzono, że w danym utworze nie ma aspektów społecznych, że nie występuje w nim moment walki klasowej – autor bywał zaliczany do wsteczników, reakcjonistów, faszystów. Posuwano się jeszcze dalej: ponieważ tzw. poeci awangardowi byli przeważnie wyznawcami socjalizmu – wyciągano stąd wniosek, że autor hołdujący w swoich utworach tradycyjnym formom poetyckim jest *ipso facto* reakcjonistą społecznym i wrogiem kulturalnego postępu (proszę porównać dla ilustracji tego twierdzenia recenzję Anatola Mikułki z wiersza T. Hollendera *Stulecie Pana Tadeusza* – „Kurier Wileński”). Faszystowskie było zwrotkarstwo, faszystowskie liryczenie, melancholia, egzotyka, gwiazdne

zapatrzenia czy humanitaryzm. Melancholia wiersza, usypiająca czytelnika i dająca mu porcję mazgajskiego oczadzenia, zamiast zastrzyku podniecającego do walki; egzotyka, odwracająca uwagę czytelnika od zagadnień chwili i przenosząca jego wzruszenia na szlaki fantazyj autorskich – te elementy wiersza są wrogie socjalizmowi, są jedynie zawadą na drodze walki o przyszły ład społeczny. Tak rozumowała krytyka socjalistyczna. I oczywiście: cóż słusznieszego ponad to twierdzenie, jeżeli z góry założyło się, że najważniejszym zagadnieniem epoki jest walka o społeczeństwo bezklasowe?

Ale jest to w istocie stanowisko zdecydowanie antykulturalne. Tak jest: w warunkach naszej rzeczywistości literackiej jest to stanowisko zdecydowanie antykulturalne. Nie byłoby ono takim, gdyby format myślowy prozy Kruczkowskiego i format uczuciowy poezji Szemplińskiej był u nas zjawiskiem powszechnym. Tak nie jest. Nie mydlmy sobie oczu.

Szermowanie „najważniejszym zagadnieniem epoki” z wdziękiem pojedynku na siekiery i z jego skutkami przysporzyło wrogom socjalizmu tyluż niemal sympatyków, ilu Żydów przysporzyła syjonizmowi agitacja endecka. Poeci bowiem żyją przeważnie w innej płaszczyźnie zagadnień aniżeli krytycy i socjologowie. Dla nich socjalizm – to socjaliści. Poeci stykają się z myślą socjalistyczną jedynie na platformie swoich zainteresowań zawodowych. A jeżeli na tej właśnie platformie spotykają się z ludźmi, których stanowisko jest wrogie ich twórczości – nic dziwnego, że przechodzą do obozu antysocjalistycznego i dalej piszą tak samo.

Jeżeli autora pasjonowały tajniki leśnych podszyć – nazywało się to świadomym odwracaniem uwagi społeczeństwa od zagadnień istotnych. Jeżeli był mistykiem religijnym – spotykał się z zarzutem jeszcze ostrzejszym. A jednak chwila głębszego zastanowienia nad konkretnymi utworami poszczególnych autorów zmusza do innej oceny. Nigdy nie uwierzę, że proza Bruno Schulza czy wiersze Rogowskiego były pisane z myślą o opóźnieniu zwycięstwa idei, której realizacja ma zapewnić kulturze rozkwit najpełniejszy i najpowszechniejszy. I nie uwierzę też nigdy, aby mogły one zwycięstwo to w jakikolwiek sposób opóźnić. Utwory tych autorów, świat doznań i przeżyć w nich wyrażony – to jedyny świat, w którym ludzie ci mogą się poruszać swobodnie. W nim tylko są w swoim żywiole, w nim najpełniej potrafią siebie wyrazić. Piszą w pewien sposób i o pewnych tylko sprawach, bo tylko ten sposób i te tylko sprawy pasjonują ich naprawdę. To są ludzie szczerzy. Potrafią na wielu stronach książki wzruszać się poetycko upalnym dniem lipcowym małomiasteczkowego południa, a nie potrafią dojrzeć nędzarzy wałęsających się po rynku w poszukiwaniu odpadków. W tym właśnie jest ich makabryczna szczerość. W tej dziwnej, niezrozumiałej dla zwykłych śmiertelników ślepotcie. Za to należy litować się nad nimi, jako ludźmi, i tego należy im zazdrościć, jako artystom. Na dowód wielkiej szczerości Jana Jakuba Rousseau podawano, że w żadnej jego książce nie ma wzmianki o Wenecji, choć w mieście tym spędził on niejedną noc; a nie było w owym czasie pisarza, który

nie pozostawiłby w swych pismach choć śladu swego pobytu w tym uroczym mieście. I dziś jeszcze niewielu jest takich pisarzy.

Poezja, jeżeli ma mieć swój walor istotny, jeżeli ma zawierać w sobie ważki ładunek estetycznej wzruszeniowości, jeżeli ma nas naprawdę urzekać, narzucać naszej wyobraźni świat wizyj autora, musi mieć za sobą kredyt szczerých przeżyć, musi być manifestacją tego świata wizyj i tej płaszczyzny wzruszeń, w której autor najnamiętniej odnajduje samego siebie, w której talent jego największe znajduje możliwości. Rogowski, który na wsi widzi jedynie chaty doziemne i słonecznikowe, i Olcha, odnajdujący na wsi potęgę ludzkiej nienawiści i siły – oni obaj dobrze służą poezji.

Twórczość Bruno Schulza, Rogowskiego czy Leśmiana bardziej przyczynia się do zwycięstwa idei postępu społecznego aniżeli „rewolucyjne” wiersze Leca. Utwory tych poetów są to wspaniałe manifestacje talentów, są to odezwy rewolucyjne, których proletariát – nie może czytać. Dla wielu milionów Polaków zdobycze współczesnej kultury są tylko pozycjami bibliograficznymi. Książki są niedostępne ludziom, którzy ich łakną najbardziej. Można je tylko oglądać na wystawach, na odległość szyby witrynowej – jeżeli w ogóle po dniu męczącej pracy lub jeszcze bardziej męczącego bezrobocia ma się ochotę na oglądanie czegokolwiek. Książki te krzyczą, wołają głośno o swej obecnej bezużyteczności, budzą tę samą pasję, jaką budzi widok wspaniałych fabryk i kopalń! Komu? Komu są te książki i te fabryki?

Chciałbym – i zdaje się, że nie mijam się ze słusnością – aby te produkty kultury duchowej i kultury materialnej, aby te książki i fabryki nie ściągały na siebie tej nienawiści, która należna jest systemowi czyniącemu bezużytecznym ich istnienie.

Celowo posłużyłem się w powyższym rozumowaniu przykładami autorów, których twórczość jest najbardziej aspołeczna. I przeciwstawiłem jej w pewnym miejscu twórczość J.St. Leca. Autor ten jest klasycznym przykładem przykrego nieporozumienia, spowodowanego omawianymi tu tendencjami młodej krytyki do rewolucjonizowania młodego pokolenia poetyckiego. Lec jest satyrykiem i kalamburzystą. Nie mówimy tu o klasie pisarskiej, jaką reprezentuje. Określamy jedynie *genre* właściwy jego talentowi. Ale prócz kalamburów i satyr Lec pisuje wiersze. Wiersze „rewolucyjne”, drukowane przez lewicowe pisma literackie. I te właśnie wiersze są czymś niewymownie przykrym. Zamiast patosu rewolucyjnego i surowości słowa autor dokumentuje swą rewolucyjność prymitywnymi często gierkami słownymi. W „Lewarze” wytknięto mu to niedawno, dając przy tym radę, aby wprowadził do swych wierszy te elementy, których Lec – takie jest moje zdanie – nie jest w stanie wprowadzić. Bo właśnie w tych gierkach słownych, w tych ciekawostkach i niespodziankach języka talent Leca, jego psychika, znajduje największe, i jedyne, możliwości.

Nie wymagajmy od autorów, aby pisali wiersze, których pisać nie potrafią. Czegokolwiek k r y t y k wymaga od pisarza – wymaga za dużo. Nie wymagajmy



od Leca, aby napisał epos patetyczne. Niechaj pisze kalambury i satyry. I niechaj nadal, tak jak nim jest teraz, będzie lewiczowcem. A my nie przestańmy go za takiego uważać.

Krytyka nie może wymagać. A jeżeli nawet wymaga – na nic to się nie zdaje. Młody talent, zanim się rozgrzeje od wewnątrz i zanim w sobie okrzepnie – już się załamuje pod ciężarem wielkich wymagań. Młody pisarz nie wie jeszcze, czy umie mówić w ogóle, a już mu każą mówić w pewien szczególny sposób. Narzuca się ludziom obowiązki, które przerastają ich siły. Szantażuje się zarzutem zacofaństwa, parafianśszczyzny i reakcji. Reakcyjny jest beztroski uśmiech epigramu! Reakcyjny jest duszny erotyk! Reakcyjny jest pesymizm wieku dojrzewania! Reakcyjna jest młodość sama, zawadiactwo myślowe i dowcip! I ciągle wymaga się. Nie przestaje się wymagać. Nieustannie. Żadna statystyka nie podaje szkód, jakie polityka ta wyrządza. Zapewniam was, że są one bardzo duże. Nawet *Mały Rocznik Statystyczny*, który jest jedyną poważną publikacją marksistyczną niepodlegającą cenzurze, nie podaje interesujących nas wykazów. Zdajmy się więc na własne doświadczenie. Każdy na swoje – oczywiście. Moje doświadczenia są bardzo pesymistyczne. Chętnie jednak usłyszałbym zdanie odmienne – jeżeli jest ono w ogóle możliwe.

Czegokolwiek krytyk wymaga od pisarza – wymaga za dużo. Wymagać może minister spraw wewnętrznych. Wymagać może cenzor. Obojętne jaki: burżuazyjny czy nieburżuazyjny. Cenzor wymaga. Nie ogłasza głośno, czego wymaga. Jeżeli nie wiemy lub nie chcemy wiedzieć – cenzor uprzytamnia nam swą wolę ostrymi nożycami. Nie bawmy się i my w tę brzydką zabawę. Jest ona nieinteresująca. To pewne. Czy jest ona potrzebna – o tym lepiej dyskusji nie wszczynać. Nie bawmy się brzydko! Nie bawmy się tam, gdzie należy pracować, myśląc.

Miejmy też odwagę przyznać to głośno, że bardziej rewolucjonizuje nas *Oda do młodości* aniżeli wiersze Leców! Że większym rozmachem rewolucyjnym natchnąć nas może proza pism Piłsudskiego aniżeli proza *Nóg Izoldy Morgan*. Miejmy odwagę przyznać się do prawd od lat wyklinanych! I nie przestańmy Piłsudskiego szanować za to, czego swymi pismami dokonuje mimo woli, jak nie przestajemy szanować Bruno Jasieńskiego za to, czego mu się osiągnąć nie udało, choć wolę miał najlepszą.

Rozmawiajmy jak ludzie wolni. Jeżeli niektórzy z nas nie cieszą się pełną wolnością, jeżeli nikt z nas nie ma nieograniczonej wolności słowa – rozmawiajmy jak ludzie, dla których wolność jest pojęciem moralnym: wolność – świat wewnętrzny człowieka; wolność – nasza wewnętrzna rzeczywistość. Rozmawiajmy jak ludzie wolni. Nie bądźmy niewolnikami. Nie gospodarujemy młodymi siłami metodą sitwy i sprzysiężenia, które każde wystąpienie swego członka, czy jest ono zacne, czy niezacne, musi pokrywać jednogłośnie aplauzem. Nie gospodarujemy metodą sitwy, gdyż jest to nieomylny znak słabości i niewiary w własne siły. Niewiary w zdolność kulturotwórczą własnych zdolności. Jest to oznaka tej słabości i niewiary w własne siły, które na gruncie

zmagani bezpośrednich, na terenie walki politycznej są tak bardzo kontrrewolucyjne, które są po stokroć ze wszystkich szpalt prasy lewicowej wyklinane. Mówmy jak ludzie wolni. Nie łudźmy się, że bez tej wolności wewnętrznej, bez świata marzeń (o słowo po stokroć wyklęte!), bez żywej wewnętrznej wizji lepszego jutra zdołamy walczyć o świat wolności zewnętrznej! I nie łudźmy się, że ktokolwiek uwierzy w naszą wolę stworzenia *ś w i a t a z e w n ę t r z n e j w o l n o ś c i*, jeżeli nie damy dowodów, że już dziś, w naszej treści psychicznej, w naszych marzeniach, jesteśmy ludźmi wolnymi naprawdę.

„Sygnały” 1936, nr 14, s. 3.

pozycja 102a

Kazimierz Czachowski

### W poszukiwaniu nowych dróg

W twórczości literackiej chwili obecnej, zwłaszcza w liryce, poniekąd też w powieści, zauważyć można coraz wydatniejsze zainteresowanie człowiekiem jako jednostką. Zwrot to dość nieoczekiwany, ale znamienity, dochodzący już nawet do krańcowych przejawów. W tym względzie zjawiskami szczególnie uderzającymi są dwie powieści autobiograficzne poetów: *Zmory* Emila Zegadłowicza i *Ma lat 22* Tadeusza Peipera.

Zestawione razem, a ze względu na przedstawienie życia młodzieży w gimnazjach galicyjskich przed wojną nasuwają się tu nadto *Rubikon* Zygmunta Nowakowskiego i *Niebo w płomieniach* Jana Parandowskiego – dają te powieści nader ciekawy materiał porównawczy. Przede wszystkim sam fakt cofania się w przeszłość jest bardzo znamienity dla charakterystyki bieżącej chwili literackiej, w której także powodzenie poezji Wojciecha Bąka posiada odrębną wymowę. Ale wymienione powieści nic w sobie nie mają z religijnego fanatyzmu poety *Śpiewnej samotności*. Wprawdzie u Zegadłowicza również nie brak fanatyzmu, ale jest to fanatyzm samouwielbienia. Otóż podobne zjawisko widać też w powieści Peipera. To spotkanie na wspólnej platformie dwóch jakże odmiennych indywidualności i jakże różnych poetów wydaje się być przejawem nie przypadkowym, lecz jakby wynikającym z ogólnej atmosfery duchowej, czyli z poszukiwania oparcia w kulcie własnej osobowości.

Nie podejmuję tu dokładniejszej oceny obu zasługujących na to utworów, z których zresztą jeden ma już za sobą aż nazbyt wiele rozgłosu. W artykule niniejszym idzie tylko o wskazanie niektórych linii stycznych lub rozbieżnych. Peiper, opowiadając o życiu młodzieży w gimnazjum rzeszowskim, daje prawdziwy i naprawdę dobrze odczuty obraz ówczesnej rzeczywistości, którą Zegadłowicz groteskowo i jednostronnie przejawiał, choćby przez zupełne pominięcie tajnych organizacji samokształceniowych, naówczas odgrywających przecież rolę bardzo doniosłą, a dobrze uwydatnioną w powieściach



Nowakowskiego i Peipera. Temu historyczno-społecznemu realizmowi Peipera nie dopisuje jednak plastyka widzenia świata zewnętrznego, która właśnie w baśniowo groteskowych widziadłach Zegadłowicza nieraz uwypukla się wręcz znakomicie. W gruncie rzeczy obaj poeci wpatrzeni są w siebie. Gdy wszakże Zegadłowicz rozpętuje demonizm w otoczeniu Mikołaja Srebrempisanego, a bohater swego wyaniela, to na odwrót Juliusz Ewski z powieści Peipera, typ intelektualnie zbliżony do Hansa Castorpa z *Góry Czarodziejskiej* Tomasza Manna, demaskuje jałowość zatapiania się człowieka we własnym wnętrzu duchowym i – być może wbrew zamiarowi autora – odsłania swą na wskroś egoistyczną naturę, poszukującą wciąż pretekstów dla usprawiedliwienia swego rzekomo idealnego postępowania, zakończonego jakże ostrym zgrzytem kradzieży pieniędzy z matczynej teczki. Jest tu jakieś wyzwalające rozpętanie subiektywizmu. I rzecz szczególna, że Peiper, który w swych poematach obiektywizował stany liryczne aż do zupełnego zacierania ich śladów osobistych, w powieści daje im swobodny upust, a tym jaskrawszy, że przeprowadza ich drobiazgową analizę psychologiczną. To zastanowienie się nad przyczynami przeżyć zamiast bezpośredniego przeżywania wprowadza atmosferę nie mniej demoralizującą, jak żywiołowe rozkiełznanie, stanowiące o amoralnym klimacie *Zmór*. Wszelako wątpliwości nie ulega, że zarówno Peiper, jak Zegadłowicz sięgnęli do głębi duchowych pokładów człowieka, że zwłaszcza Peiper dał wszechstronnie wyczerpującą analizę charakterologiczną, i aż podziwiać się musi ich obu odwagę bezwzględnej szczerości. Niechaj mi tu wolno pominąć sprawę zastrzeżeń, jakie *Zmory* wywołały ze stanowiska krytyki społecznej. Wydaje mi się jednak, że *Zmór* nie można, jak to chciał pewien wybitny krytyk, załatwić, lecz należy je zrozumieć, a wtedy się uzna, że – na równo z powieścią Peipera – otwierają one drogę nie tylko w głąb osobowości autora, ale w ogóle w pewne sfery naszej wiedzy o człowieku. Na bardziej zobiektywizowanej płaszczyźnie epickiej pokrewne zjawisko wskazać można choćby w *Cudzoziemce* Marii Kuncewiczowej. Szczytowym zaś objawem zgłębiania demonizmu jednostki są *Sklepy cynamonowe* Brunona Schulza.

Skądinąd nader znamienne jest zjawisko, że w liryce zwrot do kultu jednostki przybiera formy klasycystyczne. Ograniczę się do wymienienia *Srebrnej wagi* Mariana Piechala, jako zapewne najwybitniejszego cyklu poetyckiego ostatnich miesięcy. Bardzo ciekawe jest także wyznanie innego poety, który w swej formie nie staje się klasykiem, wszelako od awangardowego rozprzężenia norm przechodzi do realistycznej jasności swych poetyckich wypowiedzi. Mam tu na myśli Stefana Flukowskiego, który nowy swój tom pt. *Dębem rosnę* poprzedził znamiennej przedmową. Czytamy w niej m.in., że nadmiernie rozrośnemu pluralizmowi przeciwstawić należy prawo jednostki. Przeciw tyranii nowości i mody – powołać tradycję ku pomocy. Obok doświadczenia korzystać wydatniej z intuicji, która uczyni nas twórczymi. Praktyczność każe więc poeta zespalać z idealizmem. Bo dochodził do przekonania, że „jedynie *micra* i pragnienie jej odnalezienia zdolne są uchronić człowieka przed zagubieniem własnego kierunku”.

To wyznanie poety, należącego do awangardy literackiej i społecznej, aczkolwiek sformułowane dość ogólnikowo, wskazywać się zdaje nowe linie kierunkowe dzisiejszej twórczości.

„Czas” 1936, nr 114 (26 kwietnia), s. 9.

pozycja 129a

**Mieczysław Lisiewicz**

### **Mój Wielce Szanowny Przedmówca twierdzi...**

W parlamencie angielskim istnieje zbawienny zwyczaj, że członek izby nie zwraca się na sali obrad bezpośrednio do innego członka izby, lecz do Speakera, niejako zaufanej osoby trzeciej, której powierza swoje troski i zastrzeżenia dotyczące się kolegów. W polskim ustroju literackim nie ma niestety takiego piorunochronu temperamentów krasomówczych. A jednak przyjęta forma listów otwartych albo artykułów bezpośrednich ma charakter zbyt osobisty, a nawet jakże często, choćby mimo woli – kłótlivy, i podobnie jak spór na targowicy o dobrą wagę kończy się bójką. W ten sposób sprawy nader doniosłe rozpluwają się w powodzi obraźliwych inwektyw, złych słów lub takich zarzutów, jak owe przysłowiowe „krzywe nogi”. Opinia publiczna przyznaje zaś z reguły rację temu z dwóch przeciwników, który nawet nie w bardziej dowcipnej, ale w bardziej bezwzględnej formie ujmie swoje argumenty. Mówi się wtedy: „ale mu dał”, nie wchodząc zupełnie w sedno rzeczy ani też nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób pochwała prawo silniejszego, anormalny pozór wymiaru sprawiedliwości, a nie sprawiedliwość samą.

Sprawa, którą mam zamiar poruszyć, tyczy się niestety określonej osoby i musi być skierowana pod określonym adresem. Przy tym stała się już własnością publiczną. Swoją początek wywodzi bowiem z krytyki podpisanej imieniem p. Bruno Schulza, cenionego wielce pisarza, malarza, a ostatnio krytyka. Opublikowana zaś została w numerze 8 „Wiadomości Literackich”, z daty 25 kwietnia 1937, pt.: *Powieść o wiejskim proboszczu*, omawiając dzieło G. Bernanosa, tłumaczone pod tym samym tytułem na język polski. Ponieważ unikam listów otwartych, z wyżej przytoczonych względów, postaram się ująć moje nie tyle zastrzeżenia, ile pytania w paru jak najbardziej bezosobowych słowach, podkreślając, że nie zamierzam bynajmniej w jakikolwiek bądź sposób obrazić czy dotknąć wielce szanownego autora *Sklepów cynamonowych* ani też, przeciw czemu zastrzegam się jak najostrzej, sprowokować przeniesienia ewentualnej dyskusji na inny, nad wyraz niepożądany teren, mnie obcy i wstrętny.

Walczymy o krytykę ścisłą i odpowiedzialną. Każda choćby najdrobniejsza praca krytyczna wymaga żmudnej, benedyktyńskiej – jak to się mówi – pracy, pracy aż do znudzenia pedantycznej, ważącej każde pisane słowo na gramy. Krytyk bierze na siebie ciężar walki ze sobą samym, odpychając ewentualną

sympatię czy antypatię do autora czy do samej treści krytykowanego dzieła, błąka się po efemerycznych krainach wzruszeń artystycznych twórcy, by dowiercić się wreszcie źródeł wartości rzeczywiście, a zasypać urojone.

W imię podobnej ścisłości krytycznej rzucam więc moje pytanie, zmierzające *in medias res*. Pan Bruno Schulz użył w swej cennej krytyce zwrotu będącego na pewno wynikiem długich rozważań i studiów, nietyczącego się samej książki Bernanosa, ale będącego objaśnieniem myśli krytyka: „Stosunek doktryny chrześcijańskiej do sprawiedliwości ziemskiej, problem dziwnie dwuznaczny i wykrętny już w słowach ewangelii, komplikujący się jeszcze...” etc. – dalej nie cytuję, gdyż to wybiegałoby poza zasięg mego pytania. Chodzi mi tylko o zdanie: „Stosunek doktryny chrześcijańskiej do sprawiedliwości ziemskiej, problem dziwnie dwuznaczny i wykrętny już w słowach ewangelii”. Rzecz posiada swoją wagę nie tylko dla mnie, ale, jak sądzę, dla wielu, gdyż dwuznaczność i wykręt jest, jak by się zdawać mogło, czymś obcym i sprzecznym z Chrystusową etyką, a choćby ze słowami tych właśnie Ewangelii: „A niechaj mowa wasza będzie: jest jest lub nie nie. A co nadto jest, od złego jest” (Mat. V, 13). Niewątpliwie tak ceniony pisarz i czytany krytyk nie użył słów w swojej krytyce lekkomyślnie, gdyż jako znawca Ewangelii zna zapewne inny cytat z tego samego św. Mateusza (XII, 36): „A powiadam wam, iż z każdego słowa próżnego, które by wyrzekli ludzie, zdadzą liczbę w dzień sądny”.

Prawdopodobnie więc pan Bruno Schulz zechce, uznając moje ważne racje, choćby w imię ścisłości krytycznej, przytoczyć ustępy i cytaty Ewangelii, na których oparł swoje twierdzenie podane w tak konkretnej formie i opatrzy je swymi komentarzami. Nie mogę przy tym oprzeć się chęci wyrażenia swej radości, tym większej, że mało spodziewanej, odnalezienia nazwiska pana Brunona Schulza w rzędzie tych pisarzy, którzy poszukując właściwych dróg etyki ludzkiej, opierają się właśnie na głębokiej znajomości Ewangelii i Ojców Kościoła.

„Czas” 1937, nr 139 (23 maja), s. 9. Tekst odnosi się do recenzji: Bruno Schulz, *Powieść o wiejskim proboszczu*, „Wiadomości Literackie” 1937, nr 18, s. 4; przedruk w: idem, *Dzieła zebrane*, t. 7: *Szkice krytyczne*, koncepcja edytorska Włodzimierz Bolecki, komentarze i przypisy Mirosław Wójcik, oprac. językowe Piotr Sitkiewicz, Gdańsk 2017, s. 102–103, przypisy s. 242–243. Nie wiadomo, czy Schulz w jakimkolwiek sposób odniósł się do tego apelu.

pozycja 133a

**Kazimierz Wyka**

**Dwoje wizjonerów (fragment)**

W debiutach Rymkiewicza i Świrszczyńskiej przybywają Brunonowi Schulzowi towarzysze po fantastyce. Ten rodzaj twórczości najbardziej jednak ociera się o manierę, najłatwiej tutaj pod pozorem wierności sobie aż do znudzenia

przekopywać wciąż ten sam zakątek. To ostrzeżenie. Na przyszłość mniej dotyczy Rymkiewicza, dużo więcej Świrszczyńskiej.

„Gazeta Polska” 1937, nr 278 (7 października), s. 3; przedruk w: *Stara szuflada i inne szkice z lat 1932–1939*, oprac. Maciej Urbanowski, Kraków 2000, s. 462. Tekst poświęcony książkom: *Tropiciel*. *Poemat* Aleksandra Rymkiewicza oraz *Wiersze i proza* Anny Świrszczyńskiej.

#### pozycja 144a

SCHULZ B. *Sklepy cynamonowe*. W-wa 1934. Rój. 8°, s. 220. Zł 5. – Poetycka deformacja rzeczywistości, w której obraz świata realnego gubi się całkowicie niemal w zwichrzonym kłębowisku chorobliwych widziadeł i niesamowitych zjaw. Nikłą podbudową tematyczną są wspomnienia z dzieciństwa, spędzonego w jakimś mieście małopolskim, i z domu rodzinnego, po którym snuje się koszmarna postać zwyrodniałego ojca. I forma oryginalna, wysoce artystyczna, ale trudna, i charakter malowanych obrazów kwalifikują książkę tylko dla czytelników o wysokim wyrobieniu literackim i życiowej dojrzałości.

*Przewodnik Literacki i Naukowy. Kontynuacja „Książki w Bibliotece” 1933/1935*, praca zbiorowa pod red. Wandy Dąbrowskiej, Warszawa 1937, s. 111. Tekst opatrzone adnotacją, że książka Schulza jest „odpowiednia mniej więcej na lat 11–12” (s. 2).

#### pozycja 204a

##### Niepowetowane straty kultury polskiej (fragment)

Ostatnie miesiące przyniosły wyjątkowo dużą ilość zgonów wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki polskiej. Obok bezpośrednich mordów dokonywanych przez okupanta, przyczyną tej katastrofalnej dla kultury polskiej śmiertelności wśród jej najwybitniejszych przedstawicieli są ciężkie warunki wojenne, często wprost nędza, a zarazem ciągła, w świetle polityki dewastacji kultury polskiej – usprawiedliwiona troska o przeżycie. Od połowy r. 1942 do chwili obecnej zmarli m.in.: [...]

We Lwowie zginęli m.in. krytyk i teatrolog Ostap Ortwin, młody literat Bruno Szulc, docent filologii klasycznej UJK Auerbach.

*Nasze życie*, „Prawda. Pismo Odrodzenia Frontu Polski” 1943 (marzec), s. 13–14; przedruk w: *Przegląd polskiej prasy podziemnej*, luty–maj 1943, Londyn 1943, s. 16–17.